

SHERLOCK HOLMES

Z przygód
Sherlocka
Holmesa



ARTHUR CONAN DOYLE



ARTHUR CONAN DOYLE

SHERLOCK HOLMES

Z przygód
Sherlocka
Holmesa

Tłumacz grecki

Podczas mojej długiej i zażyłej przyjaźni z Mr. Sherlockiem Holmesem nie słyszałem nigdy, żeby on kiedy wspominał o swoich krewnych, a prawie nigdy nie mówił o swym dawniejszym życiu. Milczenie jego o tym powiększyło wrażenie czegoś niehumanicznego, jakie on wywarł na mnie, tak że poczyniałem uważać go czasem za jakiś odosobniony fenomen, za mądrość pozbawioną uczucia, za człowieka, któremu brak było sympatii dla ludzi o tyle, o ile wyróżniał się spośród nich inteligencją. Wstręt do kobiet i niechęć do zawierania nowych przyjaźni cechowały jego charakter nieulegający wzruszeniom, ale nie więcej, jak kompletny zanik wszelkich stosunków z własną rodziną. Przyszedłem już do przekonania, że był on sierotą, niemającym żadnych krewnych, którzy by jeszcze żyli, aż jednego dnia zaczął on, ku mej wielkiej niespodziance, mówić o swoim bracie.

Było to po herbacie, jednego wieczoru letniego. Rozmowa, która wlekła się bezładnie i dorywczo, przechodząc od klubów golfowych do przyczyn zbieżności ekliptyki¹, zesłała w końcu na kwestię atawizmu² i dziedzicznych zdolności. Przedmiotem dyskusji była kwestia, jak daleko sięga na potomstwo specjalna jakaś zdolność w pewnym osobniku, i o ile ona zależy od wczesnego ćwiczenia.

– Na przykład co się ciebie tyczy, mówiłem, z tego wszystkiego, coś opowiadał, zdaje mi się być widocznym, że twoja zdolność do

1 ekliptyka – wielkie koło na sferze niebieskiej, wzdłuż którego obserwuje się roczny pozorny ruch Słońca.

2 atawizm – ujawnienie się cech charakterystycznych dla czyichś przodków, środowiska lub kultury.

obserwacji i specjalna łatwość w dedukcji zależą od twego własnego systematycznego ćwiczenia.

– W pewnej mierze – odparł zamyślony. – Moi przodkowie byli szlachtą wiejską i wiedli taki żywot, jaki jest właściwy ich klasie. Ale nie mniej zawód mój leży w moich żyłach i może pochodzi od babki, która była siostrą Verneta, malarza francuskiego. Zdolności artystyczne odziedziczone z krwią mogą się wcielać w najdziwniejsze kształty.

– Ale skąd wiesz, że to jest dziedziczne?

– Ponieważ brat mój, Mycroft, posiada to w wyższym stopniu niż ja.

Było to rzeczywiście nowością dla mnie. Jeżeli istniał człowiek o takich osobliwych zdolnościach w Anglii, to jak to było możliwym, żeby ani policja, ani publiczność o nim nie wiedziała. W zadanym pytaniu zauważyłem, że to skromność kazała memu przyjacielowi uznać wyższość swego brata. Holmes roześmiał się na to przypuszczenie.

– Kochany Watsonie – mówił – nie mogę się zgodzić z tymi, co zaliczają skromność do cnót. Logik powinien widzieć wszystkie rzeczy ściśle takimi, jakimi są, a niedoceniać siebie samego jest takim odstępianiem od prawdy, jak przecenianie zdolności drugiego. Kiedy więc mówię, że Mycroft posiada lepsze zdolności obserwacyjne niż ja, to mówię tylko ścisłą prawdę.

– Czy on młodszy od ciebie?

– Starszy ode mnie o siedem lat.

– Jak to możliwe, że nikt go nie zna?

– O! Jest on bardzo dobrze znany w swoim kółku.

– Gdzież więc?

– No! Na przykład w klubie Diogenesa.

– Nigdy nie słyszałem o takim towarzystwie. – A moja twarz musiała to tak wyrażać, że Holmes wydobył swój zegarek i rzekł:

– Klub Diogenesa jest najdziwniejszym klubem w Londynie, a Mycroft najosobliwszym człowiekiem. Bywa on tam zawsze od kwadrans na piątą do siódmej i czterdzieści minut. Teraz jest szósta, jeżeli więc wybierzesz się na przechadzkę w ten cudny wieczór, to z przyjemnością zapoznam cię z tymi dwoma osobliwościami.

W pięć minut potem byliśmy na ulicy i szliśmy w kierunku Cyrku Regenta.

– Dziwisz się – mówił mój przyjaciel – jak to się dzieje, że Mycroft nie używa swych zdolności w zawodzie detektywa? On nie nadaje się do tego.

– Ale, zdaje mi się, mówiłeś...

– Powiedziałem, że on przewyższa mnie w obserwacji i dedukcji. Gdyby sztuka śledcza... poczyniała się i kończyła na rozumowaniu w fotelu, mój brat byłby największym agentem kryminalnym, jaki kiedy żył. Ale on nie ma ambicji i energii. Jemu się nawet nie chce sprawdzić swoich własnych nawiązań i wolałby raczej źle rozstrzygnąć sprawę, niż podjąć się trudu, aby się poprawić. Kilka razy przedkładałem mu różne problemy i otrzymywałem rozwiązania, które, jak się potem okazało, były prawdziwe. A mimo to jest on zupełnie niezdolny, by w praktyce wyszukiwać szczegóły, co musi się zrobić, zanim sprawę można przedłożyć sędziemu lub sądowi przysięgłych.

– Więc to nie jest jego zawód?

– Wcale nie. To, co dla mnie jest środkiem do życia, jest dla niego tylko przedmiotem dyktantyzmu. Zajmuje on poważne stanowisko, bo jest kontrolorem w pewnym departamencie ministerstwa. Mycroft mieszka na Pall Mall i idzie do White Hall co dzień rano i wraca wieczorem. Z roku na rok nie ma innego zajęcia i nigdzie go nie widać, tylko w klubie Diogenesa, który znajduje się właśnie naprzeciw jego mieszkania.

– Nie mogę przypomnieć sobie tej nazwy.

– Bardzo możliwe. Jest wielu ludzi w Londynie, wiesz, z których jedni z nieśmiałości, inni z mizantropii nie życzą sobie towarzystwa swoich bliźnich. Ale nie mają oni wstrętu do wygodnych foteli i najświeższych czasopism. Więc dla ich wygody założono Klub Diogenesa, który obecnie skupia najbardziej nietowarzyskie i najbardziej nienadające się do klubu jednostki. Żadnemu członkowi nie wolno zwracać najmniejszej uwagi na drugiego. Z wyjątkiem pokoju gościnnego rozmowa jest niedozwolona, tylko w pewnych okolicznościach, a trzy przekroczenia, doniesione komitetowi, powodują wykluczenie

rozmawiającego. Mój brat był jednym z założycieli, a i ja przyszedłem do przekonania, że panuje tam bardzo przyjemna atmosfera.

W rozmowie doszliśmy na Pall-Mall i szliśmy wzdłuż tej ulicy od końca St. James. Sherlock Holmes zatrzymał się przy jednej bramie w pewnej odległości od Carlton i ostrzegając mnie, abym się nie odzywał, wprowadził mnie do sieni. Przez taflę szklaną spostrzegłem wielki, zbytkownie urządzone pokój, w którym znaczna liczba mężczyzn siedziała w koło, każdy na swoim własnym miejscu, i czytała gazety. Holmes zaprowadził mnie do małego pokoju, który wychodził na Pall-Mall, a potem pozostawiając mnie na chwilę, powrócił z jakimś mężczyzną, o którym wiedziałem, że mógł to być tylko jego brat.

Mycroft Holmes był większym i tęższym mężczyzną niż Sherlock. Był dosyć otyły, ale twarz jego jakkolwiek pełna, zachowała ten ostry wyraz, który tak charakteryzował jego brata. Oczy, które miały specjalną barwę siwą, zdawały się posiadać zawsze ten introspektywny wygląd, który wtedy tylko zauważałem u Sherlocka, kiedy on wytyżał wszystkie swoje siły.

– Przyjemnie mi, że pana spotykam, sir – przemówił, wyciągając swą rękę szeroką i płaską jak pieczęć. – Słyszałem często od Sherlocka o panu, odkąd pan został jego biografem. Swoją drogą Sherlocku, spodziewałem się ciebie widzieć w ostatnim tygodniu w nadziei, że będziesz się mnie radził w sprawie Manor-House. Myślałem, żeś się trochę w swoich głębokich przypuszczeniach pomylił?

– Nie, rozwiązałem tę sprawę – odpowiedział mój przyjaciel z uśmiechem.

– Czy był to Adams?

– Tak, to był Adams.

– Pewny byłem tego od początku. – Usiedli obaj razem w wielkim oknie klubowym. – Dla człowieka, który pragnie studiować rodzaj ludzki, jest tu najdogodniejsza sposobność – zauważył Mycroft. – Popatrz na te wspaniałe typy! Spójrz na przykład na tych dwu ludzi, którzy się zbliżają do nas.

– Markier od bilardu i ten drugi?

– Tak. Co sądzisz o tym drugim?

Dwaj ludzie zatrzymali się naprzeciw okna. Kilka znaków od kreski na kieszeni od kamizelki były jedynymi śladami bilardu, jakie mogłem zauważyć na jednym z nich. Drugi był bardzo małym i opalonym mężczyzną, z kapeluszem na bakier i kilku pakunkami pod pachą.

- Spostrzegam, że to stary żołnierz – rzekł Sherlock.
- I bardzo niedawno ustąpił ze służby – zauważył brat.
- Widzę, że służył w Indiach.
- Jako podoficer.
- Zdaje mi się w artylerii królewskiej – powiedział Sherlock.
- I wdowiec.
- Ale ma dziecko.
- Dzieci, mój chłopcze, dzieci.
- Proszę cię – odezwałem się, śmiejąc – to trochę za dużo.

– Naprawdę – odpowiedział Holmes – nie jest trudno oznaczyć, że człowiek tak ubrany, z rozkazującą miną i spaloną od słońca skórą, jest czymś więcej jak prywatnym człowiekiem³ i niedawno wrócił z Indii.

– A to, że niedawno opuścił służbę, widać z tego, że nosi jeszcze buty komiśne⁴, jak się to one nazywają – zauważył Mycroft.

– Nie ma kawalerzyckiego⁵ chodu, pomimo że nosił kapelusz na bakier, jak to wskazuje jaśniejszy kolor skóry po tej stronie jego czoła. Postać jego przemawia przeciw temu, żeby był saperem. Służył więc w artylerii. A dalej, na przykład, zupełna jego żaloba świadczy o tym, że stracił kogoś bardzo drogiego. Fakt, że robi sam zakupy, wygląda na to, jakby to była jego żona. Ma grzechotkę, co wskazuje na to, że jedno z dzieci jest bardzo małe. Żona zapewne umarła w połogu. A fakt, że pod pachą trzyma książkę z obrazkami, mówi, że jest i drugie dziecko, o którym ma pamiętać.

3 prywatny człowiek – z angielskiego *private man*, osoba niebędąca w służbie wojskowej lub cywilnej.

4 buty komiśne – tu w znaczeniu: buty wydane z magazynu wojskowego.

5 kawalerzyckiego – dziś poprawnie: kawaleryjskiego; charakterystycznego dla kawalerzysty, czyli członka oddziałów konnych.

Zacząłem pojmywać, co mój przyjaciel rozumiał przez to, kiedy mówił, że brat jego posiada bystrzejsze zdolności niż on sam. Rzucił na mnie okiem i uśmiechnął się... Mycroft zażył tabaki z tabakierki szyldkretowej i strzepnął rozsypyany proszek ze surduta czerwoną jedwabną chustką do nosa.

– Mimochodem mówiąc, Sherlocku – powiedział – dano mi pod rozwagę bardzo osobliwy problem, coś zupełnie w twoim guście. Ale ja nie mam w istocie energii, aby go śledzić, chyba że bardzo pobieżnie, ale dało mi to podstawę do bardzo zajmujących dociekań. Jeżeli będziesz tak łaskaw posłuchać...

– Kochany Mycroftie, będzie to dla mnie przyjemnością.

Brat jego napisał kilka wierszy na kartce z notesu i zadzwoniwszy, oddał ją lokajowi.

– Poprosiłem Mr. Melasa, aby przyszedł – rzekł. – Mieszka on nade mną i znam go trochę, co go też skłoniło do tego, że udał się do mnie ze swoim kłopotem. Mr. Melas jest z pochodzenia Grekiem i jest sławnym lingwistą. Zarabia na życie częścią jako tłumacz w sądach, częścią jako przewodnik dla podróżnych, którzy zajeżdżają do hotelów na Northumberland Avenue. Pozwolę mu samemu opowiedzieć swoją bardzo ciekawą przygodę.

W kilka minut później przybył do nas tęgi, niski człowiek, którego oliwkowa cera i czarne jak węgiel włosy świadczyły o południowym pochodzeniu, chociaż mówił jak wykształcony Anglik. Gwałtownie uścisnął rękę Sherlocka i jego czarne oczy zaiskrzyły się radością, kiedy się dowiedział, że specjalista ten pragnął usłyszeć jego historię.

– Nie myślę, żeby mi policja wierzyła – skarżył się – na honor, nie myślę. Właśnie dlatego, że oni nic o tym przedtem nie słyszeli, są przekonani, że taka rzecz nie może się wydarzyć. Ale wiem, że nigdy nie będę spokojny, aż się nie dowiem, co się stało z tym biednym człowiekiem z przylepionym plastrem na twarzy.

– Słucham z całą uwagą – wtrącił Sherlock Holmes.

– Stało się to we środę wieczór – mówił Mr. Melas – nie, to było w poniedziałek w nocy – dwa tylko dni temu, rozumie pan. Ja jestem tłumaczem, jak to może panu mój sąsiad powiedział. Znam wszystkie języki, albo prawie wszystkie, ale ponieważ z urodzenia jestem

Grekiem i mam greckie nazwisko, więc tylko z tym jednym językiem mam głównie do czynienia. Przez wiele lat byłem głównym tłumaczem greckim w Londynie, a moje imię jest bardzo dobrze znane w hotelach.

Bardzo często się trafia, że używają mnie o późnej godzinie cudzoziemcy, którzy popadną w jakieś kłopoty, albo podróżni, którzy przyjeżdżają późno i życzą sobie moich usług. Nie było więc dla mnie niespodzianką, kiedy Mr. Latimer, młody człowiek, ubrany bardzo elegancko, przybył do mego mieszkania i prosił mnie, abym pojechał z nim dorożką, która czekała przed drzwiami. Mówił on, że do niego przyszedł w interesie jakiś przyjaciel, Grek, a ponieważ on zna tylko swój ojczysty język, więc pomoc tłumacza jest niezbędną. Dał mi też do zrozumienia, że dom znajduje się w pewnej odległości, w Kensington i jakem to widział, z wielkim pośpiechem wsadził mnie do dorożki, kiedy wyszedł na ulicę.

Mówię do dorożki, ale szybko zacząłem powątpiewać o tym, co to był za powóz, w którym się znalazłem. Był on z pewnością obszerniejszy niż pospolita jednokonka londyńska, a obicie, jakkolwiek zużyte, było z kosztownej materii. Mr. Latimer usiadł sobie naprzeciw mnie i pojechalśmy przez Charing Cross i na Shaftesbury Avenue. Wyjechalśmy na Oxford Street i już odważyłem się zrobić uwagę, że było to kołowanie dokoła Kensington, gdy słowa moje powstrzymało nadzwyczajne zachowanie się mego towarzysza.

Wyjął on z kieszeni okropnie wyglądający kastet (cassette) obciążony ołowiem, i machnął nim kilka razy w tył i naprzód, jakby chciał wypróbować jego ciężar i siłę. Potem położył go obok siebie na siedzeniu, nie mówiąc ani słowa. Zrobiwszy to, zamknął okienka po obu stronach, a ja spostrzegłem ze zdziwieniem, że były one pokryte papierem, jakby na to, by mi przeszkodzić w patrzeniu przez nie.

– Przykro mi, że panu zasłonił widok, Mr. Melas – odezwał się. – Sprawa jest tego rodzaju, że nie jest mi na rękę, żebyś pan widział miejsca, do którego się udajemy. Mogłoby być dla mnie niedogodnym, gdybyś pan mógł odnaleźć tę drogę na powrót.

Jak pan sobie może wyobrazić, byłem prawie porażony taką mową. Towarzysz mój był silnym, młodym człowiekiem o potężnych

ramionach i pominawszy nawet broń, nie miałem najmniejszej szansy do walki z nim.

– To jest bardzo dziwne postępowanie, Mr. Latimer – wyjąkałem. – Pan musisz wiedzieć, że to, co pan czynisz, jest całkiem nieprawne.

– Bez wątpienia, przekracza to nieco granice wolności – odpowiedział – ale my to zrobimy bez pana. Jednak muszę pana ostrzec, Mr. Melas, jeżeli pan tylko raz będzie usiłował krzyknąć lub uczynić coś, co jest wbrew moim planom, to będzie pan widział, że sprawa weźmie groźny obrót. Proszę pamiętać, że nikt nie wie, gdzie się pan znajduje, i czy to w tym powozie, czy w moim domu, zawsze pan jesteś w mojej mocy.

Słowa jego brzmiały spokojnie, ale mówił je jakoś tak chrapliwie, że były groźne. Siedziałem w milczeniu, dziwiąc się, jaki mógł być u diabła powód porwania mnie w tak oryginalny sposób. Cokolwiek by to było, wiedziałem dobrze, że nie miałem się co opierać i że mogłem tylko czekać, aby zobaczyć, co się stanie.

Prawie przez dwie godziny jechaliśmy, a ja nie miałem najmniejszego pojęcia, dokąd zmierzamy. Czasem turkot kół po kamieniach mówił mi, że jedziemy po bruku, a innym razem jazda gładka i cicha zdradzała ulicę asfaltowaną, lecz oprócz tych różnych odgłosów nie było niczego zupełnie, co by mogło mi dopomóc do odgadnięcia miejsca, gdzieśmy się znajdowali. Papier na obu szybach nie przepuszczał światła, a niebieska firanka zapuszczona była na przednim oknie. Kwadrans na ósmą opuściliśmy Pall-Mall, a zegarek wskazywał mi za dziesięć minut dziewiątą, gdyśmy się ostatecznie zatrzymali. Towarzysz mój spuścił szybę, a ja ujrzałem niską sklepioną bramę wjazdową z lampą palącą się u góry. Gdym wysiadł z powozu, brama otworzyła się i znalazłem się wewnątrz domu, zauważywszy, wchodząc do środka, jakieś drzewa i łąkę po obu stronach. Nie mogłbym oznaczyć z wszelką dokładnością, czy to była prywatna posiadłość, czy też wieś.

Wewnątrz była kolorowa lampa gazowa, ale paliła się tak ciemno, że mało co mogłem widzieć, tylko to, że sień miała pewną wielkość i że była obwieszona obrazami. W ciemnym świetle mogłem zobaczyć,

że osoba, która otworzyła drzwi, była małym mężczyzną, w średnim wieku, nędznie wyglądającym i trochę przygarbionym. Kiedy się zwrócił ku nam, poznałem po odbłasku światła, że nosił okulary.

– Czy to jest Mr. Melas, Haroldzie? – zapytał.

– Tak.

– Wybornie! wybornie! Spodziewam się, że pan nie będzie się gniewał, Mr. Melas, ale nie mogliśmy się obejść bez pana. Jeżeli pan grzecznie z nami postąpisz, to nie pożałujesz tego, ale jeżeli pan spróbujesz jakich sztuczek, to niech pana Bóg ma w swojej opiece.

Mówił on głosem urywanym i nerwowym, chichocząc, i napęlił mnie większą obawą niż tamten człowiek.

– Czego panowie życzyście sobie ode mnie? – zapytałem.

– Abyś pan zadał kilka tylko pytań gentlemanowi greckiemu, który nas odwiedził, i abyś pan dał nam odpowiedzi. Ale niech pan nie mówi więcej, niż się panu poleci, bo – tu znowu powrócił ten nerwowy chichot – bo lepiej żebyś pan wcale nie przyszedł na świat.

Mówiąc to, otworzył drzwi i wprowadził mnie do pokoju, który zdaje się był bogato umeblowanym, ale znowu oświeślała go tylko jedna lampa na pół skrzycona. Pokój pewnie był wielki i wytwornie umeblowany, jakem się przekonał, przechodząc przez dywan. Spostrzegłem fotele aksamitne, wysoki, biały, marmurowy kominek, a po jednej jego stronie coś w rodzaju zbroi japońskiej. Fotel stał tuż pod lampą, a stary mężczyzna wskazał mi go, abym na nim usiadł. Młodszy nas opuścił, ale nagle powrócił innymi drzwiami, wiodąc ze sobą odzianego w jakiś wolny szlafrok mężczyznę, który powoli postępował ku nam. Kiedy wszedł w krąg światła przyćmionego, które pozwalało mi widzieć go wyraźniej, wygląd jego przeraził mnie. Był on śmiertelnie błydy i strasznie wychudły, a wytrzeszczone jego oczy błyszczały jak u człowieka, którego duch jest silniejszy niż ciało. Ale co mnie bardziej przeraziło, niż te oznaki słabości, to to, że twarz jego była dziwnie pooblepiana plastrami, a jeden wielki kawałek umieszczony był na ustach.

– Masz tabliczkę, Haroldzie? – zawołał starszy, gdy ta dziwna postać upadła raczej niż usiadła na fotel. – Czy ręce jego są wolne? Teraz daj mu ołówek. Pan masz zadawać pytania, Mr. Melas, a on

będzie pisał odpowiedzi. Zapytaj się go przede wszystkim, czy zdecydował się podpisać papiery.

Oczy człowieka tego zabłysnęły ogniem.

– „Nigdy” – napisał po grecku na tabliczce.

– Pod żadnym warunkiem? – zapytałem na rozkaz naszego tyrana.

– Tylko wtedy, gdy da jej ślub w mojej obecności kapłan grecki, którego znam.

Stary zachichotał zjadliwie.

– Wiesz, co ciebie czeka?

– Nie dbam wcale o siebie.

Tego rodzaju były pytania i odpowiedzi, które tworzyły naszą dziwną na pół mówioną, na pół pisaną rozmowę. Ciągle musiałem go pytać, czy zgodzi się i podpisze dokument. Wciąż otrzymywałem tę samą odmowną odpowiedź. Lecz szybko wpadłem na szczęśliwą myśl. Zacząłem od siebie dodawać małe zdanie do każdego pytania, z początku niewinne, aby się przekonać, czy kto z moich towarzyszy się na tym połapie, a gdy zobaczyłem, że oni nie zwrócili na to uwagi, zapuściłem się w niebezpieczniejszą grę. Rozmowa nasza toczyła się w ten sposób:

– Uporem tym nic dobrego nie zrobisz. Kto pan jesteś?

– Nie troszczę się o to. Cudzoziemiec w Londynie.

– Skutki weźmiesz na siebie. Jak długo pan tu przebywasz?

– Niech tak będzie. Od trzech tygodni.

– Majątek nie będzie nigdy twoim. Co panu jest?

– Nie pójdzie w ręce łotrów. Oni mnie morzą głodem.

– Pójdiesz wolno, jeżeli podpiszesz. Jak się pan nazywasz?

– Nie podpiszę nigdy. Kratides.

– Zobaczysz ją, jeżeli podpiszesz. Skąd pan jesteś?

– Więc nigdy jej nie zobaczę. Z Aten.

Jeszcze pięć minut, Mr. Holmes, a wyciągnąłbym całą tajemnicę pod ich nosem. Najbliższe moje pytanie wyjaśniłoby może całą sprawę, gdy w tej chwili drzwi się otworzyły i jakaś kobieta weszła do pokoju. Nie mogłem widzieć jej dość wyraźnie i nie wiem nic więcej, jak to, że była wysoka, powabna, o czarnych włosach i ubrana w jakąś powłóczęstą białą suknię.

– Haroldzie! – przemówiła po angielsku obcym akcentem. – Nie mogłam dłużej pozostać. Tam tak samotnie, że tylko – o! mój Boże! to jest Paweł!

Te ostatnie słowa wypowiedziała po grecku i w tej samej chwili więzień konwulsyjnym wysiłkiem zdarł plaster z ust i wykrzyknawszy „Zofia! Zofia!”, rzucił się w objęcia kobiety. Uścisk ich trwał tylko chwilę, bo młodszy pochwycił kobietę i wypchnął ją z pokoju, podczas gdy starszy łatwo pokonał swą wynędzniałą ofiarę i wywłókł ją drugimi drzwiami. Przez chwilę zostałem sam w pokoju i skoczyłem na nogi, zamierzając przecież dowiedzieć się, co to był za dom, w którym się znalazłem. Na szczęście nie przedsięwziąłem żadnego kroku, bo podniósłszy oczy, zobaczyłem, jak stary stał na korytarzu, utkwivszy wzrok we mnie.

– To wystarczy, Mr. Melas – odezwał się. – Widzi pan, żeśmy przypuścili pana do zaufania w sprawie ściśle prywatnej. Nie trudziłibyśmy pana, gdyby nasz przyjaciel, który mówi po grecku i który zaczął te negocjacje, nie był zmuszony powrócić na wschód. Koniecznym więc było dla nas znaleźć kogoś, który by zajął jego miejsce i mieliśmy przyjemność przekonać się o pańskich zdolnościach.

Ukloniłem się.

– Oto pięć suwerenów – rzekł, przystępując do mnie – spodziewam się, że to będzie dostateczną nagrodą. Ale pamiętaj pan – dodał, dotykając lekko mojej piersi i chichocząc się – jeżeli pan wspomnisz o tym jakiej istocie ludzkiej – uważaj – jednej istocie ludzkiej – to niech się Bóg nad tobą zlituje.

Nie mogę panu wypowiedzieć wstępu i zgrozy, jaką mnie ten niepozorny człowiek napęlił. Mogłem go teraz lepiej widzieć, bo światło lampy padało na niego. Twarz miał wychudłą i pożółkłą, a mała szpiczasta broda była nastrzępiona i źle utrzymana. Wysuwał twarz naprzód, gdy mówił, a wargi i powieki ustawicznie drgały jak u człowieka, który cierpi na taniec św. Wita⁶. Przyszedłem do przekonania, że ten dziwny urywany chichot był także symptomem jego choroby

6 taniec św. Wita – płasawica, choroba, której objawem są nagle, niekontrolowane ruchy chorego oraz nadpobudliwość ruchowa i emocjonalna.

nerwowej. Ale groźny jego wygląd podnosiły oczy stalowoszare, skrzące się lodowato, a nienawiść i nieubłagane okrucieństwo kryło się w ich głębiach.

– Dowieemy się, jeżeli pan o tym coś powiesz – powiedział. – Mamy już sposób poinformowania się. A teraz czeka na pana powóz, a mój przyjaciel odwiezie pana.

Popędziłem przez sien i wpadłem do powozu, zauważywszy znowu przy wyjściu drzewa jakieś i ogród. Mr. Latimer postępował za mną krok w krok i zajął naprzeciw mnie miejsce, nie mówiąc ani słowa. W milczeniu przejechaliśmy pewną przestrzeń z podniesionymi oknami, aż w końcu, tuż po północy, powóz stanął nagle.

– Pan zechce tu wysiąść, Mr. Melas – rzekł mój towarzysz. – Przykro mi, że pana zostawiam tak daleko od pańskiego mieszkania, ale nie ma innego wyboru. Wszelka próba postępowania za powozem może się skończyć tylko nieszczęściem dla pana.

Podczas gdy mówił, otworzył drzwiczki, a ja ledwie miałem czas wyskoczyć z powozu, gdy stangret zaciął konie i powóz odjechał z turkotem. Obejrzałem się dokoła zdumiony. Znajdowałem się na jakimś wygonie zarosłym wrzosem, tu i ówdzie rysowały się ciemne kształty krzaków jałowcowych. Gdzieś daleko ciągnął się szereg domów, ze światłami tu i ówdzie na górze. Z drugiej strony widziałem czerwone lampy sygnałowe kolei żelaznej.

Powóz, który mnie przywiózł, znikł już z oczu. Stałem, oglądając się dokoła i dziwując się, gdzie też mogłem się znajdować, gdy w ciemności spostrzegłem kogoś zbliżającego się ku mnie. Gdy przyszedł do mnie, poznałem, że to był portier kolejowy.

– Może mi pan powiedzieć, co to za okolica? – spytałem.

– Wandsworth Common – odpowiedział.

– Czy mogę wsiąść na pociąg do miasta?

– Jeżeli pan pójdzie tak z milę do Clapham Junction – mówił – to trafi pan właśnie na ostatni pociąg do Wiktorii⁷.

7 Wiktorii – tutaj w znaczeniu: Victoria Station, dworzec kolejowy w centralnym Londynie.

Taki był koniec mojej przygody, Mr. Holmes. Nie wiem tego, gdzie byłem ani z kim rozmawiałem, oprócz tego, com panu opowiedział. Ale wiem, że tam odgrywa się jakaś haniebna sprawka i pragnę pomóc temu nieszczęśliwemu, jeżeli tylko mogę. Na drugi dzień rano opowiedziałem całą historię Mr. Mycroftowi Holmesowi, a potem policji.

Siedzieliśmy wszyscy przez pewien czas w milczeniu po wysłuchaniu tego dziwnego opowiadania. Następnie Sherlock spojrzął na swego brata.

– Zrobiłeś jakie kroki? – zapytał.

Mycroft pochwycił „Daily News”, który leżał na bocznym stole.

– „Kto poda jaką wiadomość o miejscu, gdzie się znajduje grecki gentleman nazwiskiem Paweł Kratides z Aten, który nie umie po angielsku, będzie wynagrodzony. Podobną nagrodę otrzyma ten, kto doniesie coś o Greczynce, której imię jest Zofia. X 2473”. Było to we wszystkich codziennych gazetach. Odpowiedzi nie dano.

– A w greckiej ambasadzie?

– Dowiadywałem się. Nic nie wiedzą.

– Więc trzeba posłać telegram do szefa policji ateńskiej. Sherlock posiada energię całej rodziny – rzekł Mycroft, zwracając się ku mnie. – Dobrze, ostatecznie ty bierzesz tę sprawę na siebie i doniesiesz mi, jeżeli ci się co uda!

– Pewnie – odpowiedział mój przyjaciel, podnosząc się z krzesła. – Powiem tobie i Mr. Melasowi także. Swoją drogą, Mr. Melas, ja na pana miejscu, miałbym się na bacności, bo oni mogą się dowiedzieć przez to ogłoszenie, żeś pan ich wydał.

Kiedyśmy wracali razem do domu, Holmes wstąpił do urzędu telegraficznego i wysłał kilka telegramów.

– Widzisz, Watsonie – zauważył – nasz wieczór wcale nie był stracony. Kilka moich najbardziej interesujących spraw przyszło do mnie właśnie tą drogą, przez Mycrofta. Problem, o jakim właśnie dowiedzieliśmy się, chociaż pozwala tylko na jedno przypuszczenie, ma przecież charakterystyczne cechy.

– Masz nadzieję rozwiązać go?

– Tak, byłoby rzeczywiście osobliwą rzeczą, żebyśmy wiedząc tyle, zbłądzili w odkryciu reszty. Musiałeś pewnie ułożyć sobie jakąś teorię, która ci tłumaczy fakty, o jakich słyszeliśmy.

– Tak, mniej więcej.

– Jakaż jest więc twoja teoria?

– Zdaje mi się, że prawdopodobnie ta dziewczyna grecka została uprowadzona przez młodego Anglika, nazwiskiem Harold Latimer.

– Skąd uprowadzona?

– Może z Aten.

Sherlock Holmes potrząsnął głową.

– Ten młody człowiek nie umie ani słowa po grecku. Ta dama mówi po angielsku zupełnie dobrze. Stąd wniosek, że była w Anglii przez pewien czas, ale on nie był w Grecji.

– Możemy więc przypuścić, że ona przybyła w odwiedzin do Anglii i że ten Harold namówił ją do ucieczki ze sobą.

– To jest bardziej prawdopodobne.

– Dalej brat – bo także musi zachodzić pokrewieństwo między nimi – przybył z Grecji, aby interweniować. Nieroztropnie dostał się w ręce tego młodego i starszego jego współnika. Oni go pochwycili i gwałtem chcą nakłonić go do podpisania jakichś papierów, oddających im majątek dziewczyny, którym on może zarządza. On wzbrania się tego uczynić. Aby z nim pertraktować, sprowadzili tłumacza i wybrali tego pana Melasa, używszy przedtem kogo innego. Dziewczynie nie powiedziano nic o przybyciu brata i tylko przypadkiem dowiedziała się o tym.

– Wspaniale, Watsonie! – krzyknął Holmes. – W istocie myślę, że ty nie jesteś tak dalekim od prawdy. Widzisz, że trzymamy wszystkie karty w ręku i możemy się tylko obawiać jakiegoś nagłego gwałtu z ich strony. Jeżeli tylko dadzą nam czas, to musimy ich schwycić.

– Ale jak można znaleźć miejsce, gdzie ten dom się znajduje? Jeżeli nasz domysł jest prawdziwy, a nazwisko dziewczęcia jest albo było Zofia Kratides, to wyśledzenie jej nie powinno być trudnym. Musi to być naszym głównym zadaniem, bo co do brata, to nikt go nie zna. Widocznym jest, że upłynęło trochę czasu, odkąd Harold nawiązał taki stosunek z dziewczyną, a w każdym razie kilka tygodni, zanim

brat z Grecji miał czas się o tym dowiedzieć i tutaj przybyć. Jeżeli oni przebywali w tym samym miejscu przez ten czas, to prawdopodobnie otrzymamy jakąś odpowiedź na ogłoszenie Mycrofta.

Podczas rozmowy przyszedłszy do naszego mieszkania na Baker Street. Holmes pierwszy wszedł na schody, a kiedy otworzył drzwi naszego pokoju, zadziwił się taką niespodzianką. Zaglądając przez ramie, zdumiałem się również. Brat jego Mycroft siedział w fotelu, pałac.

– Wejdz, Sherlocku! Wejdz pan! – mówił przymilająco, uśmiechając się na widok naszych min zdziwionych. – Nie spodziewałeś się tyle energii po mnie, czy tak, Sherlocku? Ale ta sprawa jakoś mnie zajmuje.

– Jakiś tu przyszedł?

– Wyminąłem was dorożką.

– Czy sprawa wzięła jakiś inny obrót?

– Mam odpowiedź na moje ogłoszenie.

– Ach!

– Tak, przyszła w kilka minut po waszym odejściu.

– A jaki skutek?

Mycroft Holmes wyjął kawałek papieru.

– Oto ona – rzekł – pisana piórem J na królewskim kremowym papierze, przez człowieka w średnim wieku o słabej budowie ciała. „Sir – pisze – w odpowiedzi na pańskie ogłoszenie dzisiejszego dnia, mogę panu donieść, że znam młodą damę, o którą chodzi. Jeżeli pan będzie łaskaw przyjść do mnie, to podam panu niektóre szczegóły jej opłakanej historii. Mieszka ona obecnie w Myrtles, Beckenham. Oddany panu. J. Davenport”. Pisze on z Lower Brixton – powiedział Mycroft Holmes. – Jak sądzisz, może byśmy się teraz udali do niego, Sherlocku, i dowiedzieli się o tych szczegółach.

– Mój drogi Mycroftcie, życie brata jest więcej warte niż historia siostry. Zdaniem moim powinniśmy wstąpić do Scotland Yardu po inspektora Gregsona i udać się prosto do Beckenham. Wiemy, że ten człowiek jest narażony na śmierć i każda godzina jest droga.

– Lepiej wziąć po drodze Mr. Melasa – zauważyłem – możemy potrzebować tłumacza.

– Świetnie – powiedział Sherlock Holmes. – Poślij chłopca po jednokonek⁸ i wyruszmy natychmiast.

Gdy to mówił, otworzył szufladę od stołu i zauważyłem, jak wsuwała swój rewolwer do kieszeni. – Tak – odpowiedział na moje spojrzenie – mogę oświadczyć z tego, cośmy słyszeli, że mamy do czynienia ze szczególnie niebezpieczną bandą.

Było już prawie ciemno, nim znaleźliśmy się na Pall-Mall w pomieszkaniu Mr. Melasa. Właśnie go jakiś jegomość zawezwał i on wyszedł.

– Może mi pani powiedzieć, gdzie poszedł? – zapytał Mycroft Holmes.

– Nie wiem, panie – odpowiedziała kobieta, która otworzyła nam drzwi. – Tylko to wiem, że wyjechał z jakimś panem w powozie.

– Czy on powiedział swoje nazwisko?

– Nie, panie.

– Czy nie był to wysoki, przystojny młodzieniec o czarnych włosach?

– O nie, panie; był to gentleman w okularach, szczupły na twarzy, ale o bardzo przyjemnych manierach, bo śmiał się przez cały czas, jak mówił.

– Chodźcie no! – zawołał nagle Sherlock Holmes. – To zaczyna być poważnym – zauważył, gdyśmy jechali do Scotland Yardu. – Ludzie ci znowu pochwycili Melasa. On nie ma odwagi, jak to oni dobrze wiedzą, bo przekonali się o tym poprzedniej nocy. Łotr ten potrafił go od razu sterroryzować, jak tylko się z nim zetknął. Bez wątpienia potrzeba im usług jego jako tłumacza, ale potem gotowi go ukarać za to, co w ich oczach jest zdradą.

Mieliśmy tę nadzieję, że jadąc pociągiem, będziemy może w Beckenham równie prędko lub nawet prędzej niż powóz.

Kiedyśmy jednak przybyli do Scotland Yardu, upłynęła więcej niż godzina, nim dostaliśmy inspektora Gregsona i nim załatwiliśmy się z formalnościami, które pozwalały nam wejść do domu. Było kwadrans na dziesiątą, zanim przybyliśmy na Most Londyński, a minęło

8 jednokonek – bryczka lub dorożka ciągnięta przez jednego konia.

pół, kiedy czterech nas wysiadło na dworcu w Beckenham. Zrobiwszy pół mili drogi, stanęliśmy w Myrtles koło wielkiego ciemnego domu, stojącego opodal drogi na własnym gruncie. Tu odesłaliśmy dorózkę i stanęliśmy u celu naszej wyprawy.

– We wszystkich oknach ciemno – zauważył inspektor. – Dom zdaje się opuszczony.

– Nasze ptaszki uleciały, a gniazdo puste – powiedział Holmes.

– Dlaczego pan to mówi?

– Ciężko naładowany rzeczami powóz wyjechał stąd w ostatniej godzinie.

Inspektor roześmiał się.

– Widziałem ślady kół w świetle latarni, ale skąd się wzięły bagaże?

– Może pan zauważyłeś, że te same ślady kół ciągną się jeszcze raz. Ale ślady zewnętrzne są o wiele głębsze, tak że możemy z pewnością powiedzieć, że w powozie był bardzo znaczny ciężar.

– Pan mnie tu zabawiasz fraszkami – mówił inspektor, wzruszając ramionami. – Nie będzie to łatwa rzecz dostać się do środka. Ale spróbujemy, czy nas kto nie usłyszy.

Uderzył głośno młotkiem we drzwi i zadzwonił, ale bez żadnego skutku. Holmes zniknął w tyle, lecz wrócił za kilka minut.

– Otworzyłem okno – powiedział.

– To szczęście, że pan jesteś po stronie prawa, a nie przeciw niemu, Mr. Holmes – zauważył inspektor, gdy spostrzegł, jak sprytnie mój przyjaciel wyłamał zamek. – Tak, wobec tego sądzę, że możemy wejść, nie czekając na zaproszenie.

Jeden po drugim powłaziliśmy do wielkiego pokoju, który widocznie był tym, w którym znalazł się Mr. Melas. Inspektor zapalił latarnię i przy jej świetle mogliśmy rozpoznać dwoje drzwi, firankę, lampę i trochę zbroi japońskiej, jak on to nam opisał. Na stole stały dwie szklanki, pusta flaszka z wódki i resztki jedzenia.

– A to co? – zapytał nagle Holmes.

Stanęliśmy wszyscy cicho, nad słuchując. Cichy, jęczący głos dobywał się skądś ponad nami. Holmes rzucił się do drzwi i wypadł na korytarz. Straszny krzyk rozległ się na górze. Popędził na górę,

inspektor i ja tuż za nim, podczas gdy brat jego Mycroft postępował tak szybko, jak mu pozwalała na to wielka jego tusza.

Troje drzwi stało przed nami na gorze, a ze środkowych wychodził ten przykry głos, zapadający czasem w głuchy pomruk i przechodzący znowu w przeraźliwy jęk. Drzwi były zamknięte, ale klucz tkwił w nich na zewnątrz. Holmes otworzył drzwi na rościęz i wpadł do środka, ale w jednej chwili wrócił, ręką trzymając się za gardło.

– To czad! – zawołał. – Zaczekajcie chwilę, aż się rozejdzie.

Zaglądając do środka, mogliśmy widzieć, że jedyne światło w pokoju pochodziło od przyćmionego błękitnego płomyka, który migał w środku na małym mosiężnym trójnogu. Rzucał on dziwny sinawy krąg światła na podłogę, podczas gdy w cieniu poza tym zobaczyliśmy niewyraźne kształty dwóch osób, które czołgały się pod ścianą. Z otwartych drzwi unosiły się jadowite wyziewy, tak że zaczęliśmy dyszeć i kaszlać. Holmes rzucił się na schody, aby wpuścić świeżego powietrza, a potem wpadłszy do pokoju, roztworzył okno i wyrzucił mosiężny trójnóg na ogród.

– Za minutę możemy wejść – wyjąkał, wróciwszy znowu. – Gdzie jest świeca? Wątpię, czy będziemy mogli zaświecić zapalną w tej atmosferze. Mycroftie, trzymaj światło przy drzwiach, a my ich wyniesiemy. Naprzód!

Rzuciliśmy się ku zaczadzonemu i wyciągnęliśmy ich na korytarz. Obaj mieli posiniałe wargi i byli nieprzytomni, twarze ich nabiegły krwią, a oczy wylazły na wierzch. W istocie rysy ich były tak wykrzywione, że tylko po czarnej brodzie i krępkim wyglądzie mogliśmy poznać w jednym z nich greckiego tłumacza, który rozstał się z nami ledwie kilka godzin temu w klubie Diogenesa. Ręce jego i nogi były silnie związane, a na jednym oku widać było ślad gwałtownego uderzenia. Drugi, ubezwładniony w podobny sposób, był wysokim mężczyzną wynędzniałym do ostateczności, a kilka skrawków plastra nalepionych było dziwacznie na twarzy. Gdyśmy go złożyli, przestał jęczeć, a ja przekonałem się, rzuciwszy tylko okiem, że dla niego już nasza pomoc przyszła za późno.

Mr. Melas żył jeszcze jednak i w godzinę niecałą przyszedł do siebie przy pomocy amoniaku i wódki i otworzył oczy ku mojemu

zadowoleniu, bo wiedziałem, że to moja ręka wyciągnęła go z tej ciemnej otchłani, do której zdążają drogi wszystkich ludzi.

Była to zupełnie prosta historia, którą on nam opowiedział; potwierdziła ona tylko nasze przypuszczenia. Gość jego, wszedłszy do pomieszkania, wyjął z rękawa pas⁹ i tak przeraził tłumacza groźbą natychmiastowej i nieuniknionej śmierci, że porwał go po raz drugi. W istocie ten chichoczący się łotr wywierał jakby magnetyczny wpływ na nieszczęśliwym lingwiście, tak, że ten nie mógł o nim inaczej mówić jak tylko z drżącymi rękami i pobladłą twarzą. Zawieziono go szybko do Beckenham, gdzie wystąpił jako tłumacz w drugim interwiewie¹⁰, bardziej tragicznym niż pierwszy, bo dwaj Anglicy zagrozili więźniowi natychmiastową śmiercią, jeżeli nie zgodzi się na ich żądania. Ostatecznie widząc, że wszelkie pogrożki nie robią na nim żadnego wrażenia, wtrącili go na powrót do więzienia. Melasowi wyrzucali zdradę, która wyszła na jaw z ogłoszenia w dziennikach, ogłuszyli go uderzeniem kija, tak że nie pamiętał już nic więcej aż do tej chwili, kiedy ujrzał nas pochylonych nad sobą.

Taka to była osobliwa przygoda greckiego tłumacza, której wyjaśnienie łączy się z pewnego rodzaju tajemnicą. Po porozumieniu się z gentlemanem, który odpowiedział na nasze ogłoszenie, mogliśmy określić, że nieszczęśliwa młoda dama pochodziła z bogatej greckiej rodziny i że była w odwiedzinach u jakichś przyjaciół w Anglii. Wówczas spotkała się z młodym człowiekiem nazwiskiem Harold Latimer, który uzyskał wpływ na nią i w końcu namówił ją, aby z nim uciekła. Przyjaciele jej przerażeni tym zajściem, poprzestali na uwiadomieniu o tym jej brata z Aten, a potem umyli ręce z tej sprawy. Brat, przybywszy do Anglii, nieuważnie dostał się w moc Latimera i jego współnika, który się nazywał Wilson Kemp – człowieka o najhানیهniejszej przeszłości. Ci dwaj widząc, że Grek z powodu nieznanomości języka jest zdany na ich łaskę i niełaskę, uwięzili go i usiłowali okrucieństwem i głodem zmusić go do zapisania im majątku własnego i siostry. Trzymali go w domu bez wiedzy dziewczyny, a plaster na twarzy

9 Prawdopodobnie błąd w tłumaczeniu; chodzi o pałkę.

10 *interview* (ang.) – wywiad, rozmowa.

miał utrudnić poznanie na wypadek, gdyby go kiedyś spostrzegła. Kobięca intuicja pomogła jej poznać brata mimo przebrania, kiedy zobaczyła go pierwszy raz podczas pierwszej wizyty tłumacza. Ale biedna kobieta była sama więźniem, ponieważ nie było nikogo więcej w domu oprócz człowieka, który występował jako woźnica, i jego żony, a oni oboje byli narzędziami tych łotrów. Przekonawszy się, że tajemnica wyszła na jaw i że więzień nie da się nakłonić, w kilka godzin, jak się o tym przekonali, obaj łotrzy uciekli z dziewczyną z domu umeblowanego, który najęli, zemściwszy się najpierw na człowieku, który się im oparł, i na tym, który ich zdradził.

W miesiąc później doszła do naszej wiadomości ciekawa notatka dziennikarska z Budapesztu. Pisano tam, jak dwóch Anglików, którzy podróżowali z jakąś kobietą, zginęło tragiczną śmiercią. Zdaje się, że oni się nawzajem pozabijali, a węgierska policja przekonana była, że się pokłócili i zadali sobie nawzajem śmiertelne ciosy. Holmes jednak, zdaniem moim, inaczej o tym sądzi i do dziś dnia utrzymuje, że gdyby się tylko odnalazło tę grecką dziewczynę, to można by się dowiedzieć, w jaki sposób pomszczone zostały krzywdy jej i jej brata.

Liga czerwono włosów

Pewnego dnia w jesieni zeszłego roku odwiedziłem mego przyjaciela Mr. Sherlocka Holmesa i zastałem go prowadzącego ożywioną rozmowę z jakimś bardzo otyłym starszym gentlemanem o rumianej twarzy i płomienistoczerwonych włosach. Przepraszając za natręctwo, miałem się już cofnąć, kiedy Holmes wciągnął mnie raptem do pokoju i zamknął drzwi przede mną.

– Nie mogłeś naprawdę przyjść w lepszą chwilę, mój Watsonie – przemówił serdecznie.

– Obawiałem się, że jesteś zajęty.

– Tak, jestem. Nawet bardzo.

– Więc mogę poczekać w sąsiednim pokoju.

– Wcale nie. Ten pan, Mr. Watson towarzyszył mi i pomagał w wielu sprawach, które mi wypadły najpomyślniej, i nie wątpię, że będzie mi nadzwyczaj użyteczny i w pańskiej aferze.

Tęgi jegomość podniósł się do połowy z krzesła, skinął głową na powitanie, spojrzawszy na mnie szybko i badawczo swymi małymi oczami, które otoczone były tłustymi powiekami.

– Siadaj na kanapie – rzekł Holmes, rzucając się na fotel, i założył palce jak zwykle, kiedy występował w roli sędziego. – Wiem, mój Watsonie, że ty podzielasz moje upodobanie do wszystkiego, co jest *bizarre*¹¹ i co wychodzi poza konwenanse i szarżyznę życia codziennego. Okazałeś to zamiłowanie przez entuzjazm, z jakim się zabrałeś do opisania, i z jakim nie dziw się, że tak powiem, ubarwiłeś tyle moich drobnych przygód.

11 *bizarre* (ang.) – dziwne, osobliwe.

– Twoje sprawy w istocie interesują mnie w najwyższym stopniu – zauważyłem.

– Przypomnisz sobie, com mówił w dzień przedtem, jakeśmy się zabrali do tego tak prostego problemu, przedłożonego nam przez Miss Mary Sutherland, że dziwne efekty i nadzwyczajne kombinacje musimy czerpać z samego życia, co zawsze jest o wiele trudniejszym zadaniem, niż wszelkie wysilanie wyobraźni.

– Jest to twierdzenie, o którym pozwoliłem sobie wątpić.

– Tak uczyniłeś, doktorze; ale niemniej musisz wrócić do mego poglądu, bo inaczej nie przestanę cię zasypywać faktami, aż twoje racje przed nimi ustąpią, a ty uznasz, że miał słuszość. Otóż do-brześ pan zrobił, Mr. Jaber Wilson, żeś przybył do mnie dziś rano i żeś pan zaczął historię, która zapowiada się jako jedna z najosobliwszych, jakiem słyszał od pewnego czasu. Słyszałeś pan jak zauważyłem, że najdziwniejsze i najosobliwsze szczegóły towarzyszą bardzo często nie znaczniejszym, ale drobniejszym zbrodniom, a czasami trzeba wątpić, czy w ogóle jaka zbrodnia została dokonana. O ile wiem, to nie mogę oświadczyć, czy w obecnej sprawie ma miejsce zbrodnia czy nie, ale przebieg wypadków należy z pewnością do najosobliwszych, jakie kiedy doszły do moich uszu. Może pan będzie tak łaskaw, Mr. Wilson, zacząć na nowo swe opowiadanie. Proszę pana o to nie tylko z tego względu, że mój przyjaciel dr Watson nie zna jego początku, ale także dlatego, że osobliwy charakter tej historii wymaga, żebym usłyszał z ust pana wszelkie szczegóły. Bo z reguły, kiedy mi kto naszkicuje przebieg wypadków, to mogę się kierować tysiącem podobnych spraw, które nasuwają mi się na myśl. W obecnym muszę przypuszczać, że fakty są, o ile mogę sądzić, unikatem.

Okazały nasz klient napuszył się, przybrał nieco dumny wyraz twarzy i wyciągnął brudną i pomiętą gazetę z wewnętrznej kieszeni swego surduta. Gdy z głową wysuniętą naprzód spojrzął na kolumnę ogłoszeń, zacząłem obserwować tego człowieka i próbowałem na sposób mego towarzysza, czy mi się nie uda wywnioskować czego z jego ubrania lub postaci.

Jednak niedużo zyskałem przez moją obserwację. Nasz gość miał wszelkie cechy przeciętnego, pospolitego kramarza angielskiego, był

otyły, pyszny i flegmatyczny. Miał szare wełniane spodnie, niezbyt czysty czarny surdut, kamizelkę z prostego sukna z ciężkim mosiężnym łańcuszkiem albertyńskim, od którego zwieszała się blaszka metalowa z wywierconą dziurką jako dewizka¹². Znoszony wysoki kapelusz i spłowiały ciemny paltot z pomiętym kołnierzem welwetowym leżały obok niego na krześle. Ogółem mimo moich usilnych starań, nie zauważyłem niczego nadzwyczajnego na tym człowieku, prócz płonącej rudej głowy, najgorszego humoru i niezadowolenia odbijających się na twarzy.

Bystre oko Sherlocka Holmesa podchwyciło moje zainteresowanie, potrząsnął więc głową i uśmiechnął się, gdy zauważył moje badawcze spojrzenia.

– Oprócz tego widocznego faktu, że kiedyś był rękodzielnikiem, że zażywa tabakę, jest masonem, był w Chinach i że ostatnimi czasami dużo się napisał, nie mogę nic więcej wywnioskować.

Mr. Jaber Wilson podskoczył na krześle, wskazując palcem na gazetę, a oczy zwrócił na mego towarzysza.

– Żeby tak szczęście miał, jak pan wie to wszystko, Mr. Holmes? – zapytał. Skąd pan wie na przykład, że byłem rękodzielnikiem. To jest prawda, jak w ewangelii, bo z początku byłem cieślą okrętowym.

– Z rąk, łaskawy panie. Prawa ręka pańska jest nieco większa niż lewa. Pracowałeś pan nią i mięśnie rozwinęły się więcej.

– Dobrze, a zażywanie tabaki i wolnomularstwo?

– Nie chciałem pana obrazić opowiadaniem, jakem to odkrył, zwłaszcza, że właśnie wbrew ścisłym przepisom pańskiej sekty, nosi pan łuk koła i cyrkiel jako szpilkę do krawatu.

– A prawda, zapomniałem o tym. Ale pisanina?

– Cóż innego może oznaczać ten prawy manszet¹³ błyszczący tak na pięć cali i wytarta łatka na łokciu, który pan opierasz na biurku.

– Dobrze, a Chiny?

12 dewizka – tu w znaczeniu: blaszka na końcu łańcuszka noszonego przy kamizelce i surducie; także nazwa zegarka noszonego na takim łańcuszku.

13 manszet – mankiet.

– Ryba, którą pan ma wytatuowaną tuż nad przegubem prawej ręki, mogła być wykonaną tylko w Chinach. Robiłem małe studia nad znakami tatuowanymi i nawet pomnożyłem literaturę o tej sztuce. Rysowanie łusek rybich w ten sposób przez delikatne uklucie jest właściwe Chinom. Kiedy dodam do tego monetę chińską, wiszącą u pańskiego łańcuszka od zegarka, sprawa staje się jeszcze prostszą.

Mr. Jaber Wilson roześmiał się, sapiąc ciężko.

– A niech cię! – powiedział. – Myślałem z początku, żeś pan zrobił coś mądrego, ale teraz widzę, że nie ma w tym wszystkim nic szczególnego.

– Zaczynam myśleć, Watsonie, żeś zrobił błąd, objaśniając to. „Omne ignotum pro magnifico”, znasz to, a moja biedna reputacja, jaka tam ona jest, narażona będzie na szwank, jeżeli będę tak otwarty. Czy nie może pan znaleźć ogłoszenia, Mr. Wilson?

– Tak, mam je – odpowiedział, a jego gruby czerwony palec posunął się wzdłuż kolumny. – Otóż i ono. Od tego się wszystko zaczęło. Niech pan to sobie przeczyta.

Wziąłem od niego gazetę i czytałem, jak następuje:

– W sprawie Ligi czerwonowłosych. Stosownie do testamentu nieboszczyka Ezechiasza Hopkinsa z Lebanon, Pensylwania U.S.A., jest teraz wolne miejsce, które upoważnia członka Ligi do pensji 4 funtów szterlingów na tydzień, za czysto nominalną pracę. Wszyscy rudowłosi, zdrowi na ciele i umyśle i liczący ponad 21 lat, mogą się o to ubiegać. Zgłoszenie osobiste przyjmuje w poniedziałek o 11 godzinie Duncan Ross w biurze Ligi, Popescourt, Fleetstreet 7.

– Cóż to ma wszystko znaczyć? – wykrzyknąłem po dwukrotnym przeczytaniu tego niezwykłego anonsu.

Holmes zachichotał i pokręcił się na krześle, jak to zwykle robił, gdy się do czego zapalił.

– To trochę oryginalne, czyż nie? – powiedział. – A teraz Mr. Wilson, zabierz się pan do rzeczy i powiedz nam wszystko o sobie, swoim gospodarstwie i o ile to ogłoszenie wpłynęło na pańskie losy. Przede wszystkim zapamiętaj, doktorze, gazetę i datę.

– To jest Morning Chronicle z dwudziestego siódmego kwietnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego. Właśnie sprzed dwóch miesięcy.

– Bardzo dobrze. A więc, Mr. Wilson?

– Otóż miała się ta rzecz tak właśnie, jakem panu opowiadał, Mr. Sherlock Holmes – mówił Jaber Wilson, pocierając czoło. – Mam mały zakład zastawniczy na Saxe-Coburg Square koło City. Nie jest to bardzo wielki interes, a w ostatnich latach nie przynosił mi więcej ponad to, ile mi do życia potrzeba. Zwykle mogłem trzymać dwóch pomocników, ale teraz mam tylko jednego i trudno by mi było mu płacić pensję całą, ale on zgodził się za połowę, ot tak, aby się czegoś nauczyć.

– Jak się nazywa ten grzeczny młodzian? – spytał Sherlock Holmes.

– Nazywa się Wincenty Spaulding i nie jest wcale taki młody. Trudno oznaczyć jego wiek. Nie życzyłbym sobie sprytniejszego pomocnika, Mr. Holmes, i wiem bardzo dobrze, że on może pójść wyżej w cenę i zarobić dwa razy tyle, ile jestem w stanie mu zapłacić. Ale wziawszy wszystko pod uwagę, jeżeli jest zadowolony, to po cóż mam mu zawracać w głowie mrzonkami?

– Po cóż doprawdy? A to z pana szczęśliwy człowiek, że masz takiego employé¹⁴, który bierze pensję poniżej stawki rynkowej. Niepołite to doświadczenie u chlebobawców w tym wieku. Nie wiem, czy pański pomocnik nie jest równie godny uwagi jak pańskie ogłoszenie.

– O, on ma także swoje wady – powiedział Mr. Wilson. – Nigdy nie widział człowieka, który by miał taką pasję do fotografowania jak on. Łapie za aparat, kiedy powinien pilnować swego zajęcia i potem daje nurka do piwnicy, jak królik do nory, aby wywołać swoje zdjęcia. To jest główna jego wada; ale w ogóle jest to dobry chłopak. Nie ma na nim żadnej plamy.

– Przypuszczam, że on jeszcze jest u pana.

– Tak, proszę pana. On i dziewczyna czternastoletnia, która zajmuje się naszą niewykwintną kuchnią i utrzymuje dom w porządku, to wszystko, co mam w domu, ponieważ jestem wdowcem i nigdy nie miałem żadnej rodziny. Żyjemy bardzo spokojnie, troje nas, mamy dach nad głową i pożyczamy na fanty, jeżeli nie robimy nic więcej.

14 *employé* (ang., fr.) – pracownik.

Pierwsza rzecz, jaka wyprowadziła nas z równowagi, było to ogłoszenie. Spaulding przyszedł właśnie tego dnia, przed ośmioma tygodniami, do naszego lokalu i mówi: Dalibóg, Mr. Wilson, chciałbym być rudy.

– Dlaczegoż to? – zapytałem.

– Jak to – rzekł – oto jest jedno miejsce wolne w Lidze czerwono-
nowłosych. To prawdziwe szczęście dla człowieka, który je pozyska,
i myślę, że więcej jest miejsc wolnych niż kandydatów, tak że kurato-
rowie tracą głowę i nie wiedzą, co robić z pieniędzmi. Gdybym tak
zrzedział, to byłby ładny kasek dla mnie.

– He, co takiego? – zapytałem. – Widzi pan, Mr. Holmes, że sie-
dząc w domu, a ponieważ moje interesa same do mnie przychodzą,
zamiast, żebym ja miał za nimi chodzić, to często przez całe tygo-
dnie nie ruszam się krokiem za próg. W ten sposób nie mam pojęcia,
co się dzieje na świecie, i zawsze byłem chciwy na wiadomości.

– Czyś pan nigdy nie słyszał o Lidze czerwono-
włosych? – zapy-
tał mnie z iskrzącymi oczyma.

– Nigdy.

– No, dziwię się temu, ponieważ pan sam możesz się ubiegać
o jedno z wolnych miejsc.

– A co ja za to mogę dostać? – spytałem.

– O, tylko parę setek na rok, ale robota jest lekka i nie potrzebuje
zbyt wiele przeszkadzać innym zajęciom. Tak, łatwo sobie pan może wy-
obrazić, że mi postawiło uszy do góry, bo interes niezbyt dobrze szedł
przez kilka lat, a parę setek ekstra byłoby mi bardzo na rękę.

– Opowiedz mi wszystko o tym – rzekłem.

– Tak – powiedział, pokazując mi ogłoszenie – może pan sam
zobaczyć, że w Lidze jest wolne miejsce, a oto adres, gdzie powinien
być się pan dowiedzieć szczegółów. O ile mogę rozumieć, Ligę zało-
żył amerykański milioner Ezechiasz Hopkins, który był oryginałem.
On był sam czerwono-
włosy i miał wielką sympatię dla wszystkich
rudych, tak że po śmierci jego dowiedziano się, że zostawił swój ol-
brzymi majątek w rękach kuratorów z instrukcją, aby zużytkować
fundusze na zabezpieczenie losu ludzi, którzy mają włosy tego koloru
co i on. Z tego co słyszał, to wspomniała płaca i mało do roboty.

– Ale – odezwałem się – przecież miliony ludzi czerwono włosów zgłosiłoby się o to.

– Nie tak wiele, jak pan sądzisz – odpowiedział. – Widzi pan, że jest to ograniczone tylko na Londyńczyków i dorosłych. Ten Amerykanin wyjechał z Londynu, kiedy był młody, i chciał się odwdziżyć rodzinnemu miastu. Dalej znowu słyszałem, że nie ma potrzeby się zgłaszać, jeżeli włosy czyje są lekko lub ciemnorudawe, muszą być prawdziwe, jasne, ognisto rude. Otóż jeżeli panu chodzi o zgłoszenie się, Mr. Wilson, to powinien się pan właśnie udać, ale może nie opłaciłoby się panu zaniedbywać swego zajęcia dla marnych kilkuset funtów.

– Otóż taka jest historia, panowie, jak to sami możecie widzieć, mam akurat takie włosy, tak że zdawało mi się, że jeśli by była jaka konkurencja, to ja miałem równie dobre szanse jak i każdy człowiek, którego kiedy widziałem. Wincenty Spaulding zdawał się wiedzieć tak wiele o tym, że pomyślałem sobie, że on może się okazać pożytecznym; i poleciłem mu dlatego założyć okiennice i pójść razem ze mną. Ucieszył się bardzo, że będzie miał wolne, zamknął sklep i wyruszyliśmy razem na miejsce, które podawało nam ogłoszenie.

Nigdy nie spodziewam się widzieć znowu takiego widowiska jak to, Mr. Holmes. Z północy, południa, wschodu i zachodu ciągnął na City każdy mężczyzna, który miał choć cień rudych włosów na głowie, aby zapytać się o ogłoszenie. Fleet Street była zapchana rudowłosymi, a Popes Court wyglądał jak kramarski wózek z pomarańczami. Nie przypuszczałem, że jest w całym hrabstwie tylu ludzi, ilu to jedno ogłoszenie skupiło na tym miejscu. Były tam wszystkie kolory, słomiany, cytrynowy, pomarańczowy, ceglany, kasztanowaty jak seter irlandzkiego, wątrobiany, gliniany, ale jak Spaulding mówił, nie było wielu, którzy by mieli istotną, żywą, ognistą barwę. Kiedym zobaczył, ilu ich czekało, to zaniechałbym być tego; ale Spaulding nie chciał słyszeć o tym. Jak on to zrobił, nie mogę sobie wyobrazić, ale popychał mnie, ciągnął i szturchał, aż przeprowadził mnie przez tę ciżbę i prosto na schody, które wiodły do biura. Fala ludzi toczyła się tam i na powrót. Jedni szli na górę pełni nadziei, a inni wracali zawiedzeni, ale my cisnęliśmy się, jakeśmy mogli i szybko znaleźliśmy się w biurze.

– Pański wypadek jest nadzwyczaj zabawny – zauważył Holmes, gdy jego klient przystanął i odświeżał pamięć wielką szczyptą tabaki. – Ciągnij pan dalej to nadzwyczaj interesujące opowiadanie.

– Nic tam w biurze nie było, tylko kilka krzeseł drewnianych i sosnowy stół, za którym siedział jakiś mały mężczyzna z głową jeszcze bardziej rudą niż moja. Mówił kilka słów do każdego kandydata, który przyszedł i zawsze znachodził¹⁵ w nich jakieś wady, które by pozbawiały ich kwalifikacji na członka towarzystwa. Z tym wszystkim pozyskanie wolnego miejsca nie wydawało się tak bardzo łatwym. Ale kiedy na nas kolej przyszła, rudy człowieczek był dla mnie łaskawszym niż dla kogo innego i zamknął drzwi jakeśmy weszli, aby móc zostać z nami na osobności.

– To jest Mr. Jaber Wilson – rzekł mój pomocnik – i chciałby zająć wolne miejsce w Lidze.

– I pysznie na nie się nadaje – dodał drugi. – Ma wszelkie kwalifikacje. Nie mogę sobie przypomnieć, czym kogo widział tak odpowiedniego. – Postąpił krok naprzód, pochylił głowę na bok i wpatrywał się w moje włosy, ażem się całkiem zawstydził. Potem nagle poskoczył naprzód, uściśnął mi rękę i serdecznie mi pogratulował powodzenia.

– Byłoby niesprawiedliwością się wahać – rzekł. – Ale wybaczy mi pan, pewny jestem tego, że przedsięwzięm niezawodne środki ostrożności. – To mówiąc, pochwycił oboma rękami moje włosy i targnął, ażem zawył z bólu. – Łzy stoją w oczach pana – powiedział, gdy mnie wypuścił. Widzę, że wszystko ma się tak, jak być powinno. Ale mamy się na ostrożności, bo dwa razy oszukano nas za pomocą peruki, a raz farbą. Mógłbym panu opowiedzieć historię o szewskiej smole, która by pana napełniła wstrętem do ludzkiej natury. – Przystąpił do okna i podniesionym głosem krzyknął, że wolne miejsce jest zajęte. Pomruk rozczarowania doszedł nas z dołu i wszyscy ludzie zaczęli się rozchodzić w różnych kierunkach, aż w końcu nie było widać ani jednego rudego oprócz mnie i mego szefa.

15 znachodzić – znajdować.